W oparach zimnej wojny

Coraz więcej – już ponad 2,4 bln dol. – świat wydaje na wojsko, wszędzie nazywając to obroną narodową

Grzegorz W. Kołodko

Nie tylko kogoś troszczącego się o zrównoważony rozwój i poprawę warunków życia jak największej rzeszy ludzkości, lecz wszystkich myślących racjonalnie zastanawiać musi podkręcanie atmosfery drugiej zimnej wojny, bo z nią mamy do czynienia już od kilku lat, oraz towarzyszący jej wyścig zbrojeń. Coraz więcej – już ponad 2,4 bln dol. – świat wydaje na wojsko, oczywiście wszędzie nazywając to obroną narodową. Wpierw trzeba wszystkich postraszyć wrogiem – jakże często urojonym – aby potem hojnie wydawać na militaria z publicznej kiesy.

Komu to służy?

W ogromnej części to marnotrawstwo środków, których w tym samym czasie nie wystarcza na jakże korzystne nakłady na kapitał ludzki poprawiające dobrobyt ani na inwestycje infrastrukturalne sprzyjające przedsiębiorcom i ułatwiające życie ludności. Zrozumiałe, że żądanie, aby całą tę gigantyczną kwotę przenieść za jednym zamachem na cele pokojowe, to utopia, ale postulat, by duża jej część została jak najszybciej skierowana na rozwój społeczno-gospodarczy, jest jak najbardziej na miejscu. Gdyby tylko połowę tych środków trafnie zaadresować na walkę ze skrajną biedą, w której wciąż żyje aż 630 mln ludzi – co 13. z nas! – to można byłoby ją prawie wyeliminować. Wystarczy wspomnieć, jak bardzo wskutek przesunięcia środków finansowych z wydatków wojskowych na pokojowy rozwój spadła liczba nędzarzy na początku lat 90., w ciągu zaledwie kilku lat po zakończeniu poprzedniej zimnej wojny.

Tak, w krótkim okresie wydatki zbrojeniowe wspierać mogą wzrost gospodarczy, nakręcając koniunkturę, o ile tylko lokowane są w rodzimym przemyśle, jak w USA, których tegoroczny budżet wojskowy wynosi rekordowe 886 mld dol. To więcej niż wydatki na tzw. obronę narodową (wszyscy chcą się bronić, nikt nie zamierza atakować…) następnych 11 państw, poczynając od Chin i Rosji, które wydają odpowiednio jedną trzecią i jedną dziesiątą tego, co USA (względnie, w stosunku do PKB, odpowiednio 1,6 i 4,1%, podczas gdy USA 3,5%), a na Korei Południowej, Japonii i Włoszech kończąc. Zaledwie 18 krajów ma dochód narodowy większy niż amerykańskie wydatki wojskowe; PKB Polski jest mniejszy. Cóż, utrzymywanie przez tego globalnego żandarma w ponad 80 krajach aż 750 zagranicznych baz i instalacji militarnych musi kosztować.

To fakt, że wydatki militarne bywają nośnikiem postępu technicznego, bez którego na dłuższą metę nie ma rozwoju gospodarczego, ale przecież równie dobrze stymulować można postęp, łożąc więcej na technologie w sektorach pokojowych. W szczególności podobne efekty mnożnikowe oraz w sferze zatrudnienia dają służące walce ze zgubnym ociepleniem klimatu inwestycje w zieloną transformację energetyczną. Rzecz w tym, że obecna psychoza zimnowojenna jest celowo podkręcana przez lobby militarno-przemysłowe oraz związane z jego interesami kręgi polityczne i medialne, a także – niestety – niektórych przedstawicieli nauk społecznych, nie wyłączając ekonomistów.

W oparach zimnej wojny niejeden zatraca zdolność trzeźwego myślenia i w imię źle pojmowanej poprawności politycznej daje się zwodzić na manowce. Nie ma dnia, aby w mediach manipulujących ludzką świadomością nie pojawiały się tytuły w rodzaju „Rosja napadnie na Polskę? Wyborcy której partii najmniej boją się rosyjskiej inwazji", „Amerykanie nie chcą wojny z Iranem, ale »muszą zrobić to, co muszą«" czy „Is Taiwan ready for war?". Trzeba wytwarzać atmosferę strachu, bo wtedy

łatwiej omamiać opinię publiczną, a tę przecież loby militarne chce mieć po swojej stronie. I, niestety, to mu się udaje. Angielski autor Robert Peckham w niedawno opublikowanej książce „Fear: An Alternative History of the World" cytuje arcyfaszystę Hermanna Göringa: „Wszystko, co musisz zrobić, to powiedzieć ludziom, że są atakowani, i potępić pacyfistów za brak patriotyzmu i narażenie kraju na niebezpieczeństwo". To zdumiewające i żałosne zarazem, że podobnie czynią politycy i uległe wobec nich media nie tylko w reżimach autorytarnych, lecz również w państwach demokratycznych.

Słowa i czyny

Zastanawia i to, dlaczego tak nieudolna w zapobieganiu eskalacji konfliktów jest dyplomacja, zwłaszcza tej największej potęgi świata – USA. Podczas gdy nielubianym przez nie Chinom udało się doprowadzić do przełomu w uprzednio bardzo napiętych, grożących starciem militarnym stosunkach między regionalnymi potęgami Bliskiego Wschodu, Iranem i Arabią Saudyjską, dyplomacja prezydenta Bidena nie potrafiła powstrzymać Izraela przed totalnym atakiem na Strefę Gazy. Więcej niż skromne było podczas pięciu pierwszych miesięcy starć zbrojnych pięć wizyt na Bliskim Wschodzie Antony'ego Blinkena, amerykańskiego sekretarza stanu. Prawo do obrony to nie przyzwolenie na zmasowaną akcję wojskową, która nabrała charakteru zbrodni wojennych. Jak trudno było zgodzić się z Jeffreyem Sachsem, gdy 35 lat temu sugerował Polsce – niestety skutecznie – tzw. terapię szokową, tak trzeba zgodzić się z nim teraz, gdy pisze: „Przyjaciele nie pozwalają przyjaciołom popełniać zbrodni przeciwko ludzkości, a tym bardziej zapewniać im finanse i broń, aby to czynić". No właśnie: znowu górę biorą interesy – broń i pieniądze – a nie piękne idee, tak żarliwie głoszone.

Gdyby tylko połowę środków wydawanych na wojsko przeznaczyć na walkę ze skrajną biedą, w której wciąż żyje aż 630 mln ludzi, można byłoby ją prawie wyeliminować.

Taki stan rzeczy jest na rękę krajom eksportującym broń i firmom ją wytwarzającym. Lobby militarno-przemysłowe i prowojenne grupy interesu są silniejsze niż słabo zorganizowani miłośnicy pokoju i zrównoważonego rozwoju. W ostatnich dwóch latach notowania czołowych firm zbrojeniowych w USA, Wielkiej Brytanii i Niemczech wzrosły zdecydowanie bardziej niż najlepszych firm high-tech. Przykładowo akcje niemieckiego Rheinmetallu osiągnęły ponad 300% poziomu z początku roku 2022. Niewiele gorzej mają się amerykański Lockheed Martin czy brytyjski BAE Systems. Podkręcanie zimnowojennej atmosfery – a w niektórych miejscach wręcz wojennych starć – jest bardzo opłacalne. W 2023 r. eksport amerykańskiej broni, sprzedawanej aż do 96 krajów, skoczył o 16%, do poziomu 238 mld dol.; to aż 37% światowego handlu w tej branży. Mniej wynosi PKB trzech czwartych krajów tego zdestabilizowanego świata. Czyjś eksport musi być czyimś importem. I jest. Ostatnio jednym z największych importerów amerykańskiej broni, rywalizującym pod tym względem z Arabią Saudyjską, jest Polska, która zakupiła jej za prawie 30 mld dol. O ileż bardziej poprawiałaby się sytuacja społeczno-gospodarcza, gdyby finansujące te zakupy środki publiczne przeznaczyć na racjonalne cele rozwojowe.

Rośnie też eksport broni z Francji i Niemiec. Z kolei spada z Rosji i z Chin; w 2023 r. odpowiednio o 22% i 7,8%, przy czym z Rosji bynajmniej nie ze względu na jej „pokojowy" charakter, a z powodu dystansowania się wobec niej wielu państw po karygodnym najeździe

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, SHUTTERSTOCK

na Ukrainę. To błąd o wymiarze historycznym, za który Rosja płaci utratą międzynarodowego prestiżu i degradacją swojego znaczenia geopolitycznego, nawet jeśli jej wpływy w niektórych miejscach rosną. Ostatnio chociażby kosztem Francji w trzech rządzonych przez wojskowe reżimy krajach Sahelu, skądinąd skrajnie biednych byłych koloniach francuskich – Burkina Faso, Mali i Nigrze, które zostały po zamachach stanu usunięte z regionalnego ugrupowania integracyjnego ECOWAS (ang. Economic Community of West African States). Zasadniczo wpływy Rosji maleją na rzecz rosnącego oddziaływania innych dużych państw, nie tylko bogatych gospodarek Zachodu, lecz także tych wciąż ubogich i na średnim poziomie rozwoju, zwłaszcza Chin, Indii i Brazylii, a gdzieniegdzie też Turcji.

W każdym przypadku tych i innych geopolitycznych przetasowań dają o sobie znać zmiany w przepływach kapitału, zagranicznych inwestycjach oraz obrotach handlowych. W niejednym z nich łatwo też dostrzec przesunięcia w źródłach zaopatrzenia w surowce niezbędne do produkcji. Oczywiście w każdym przypadku słyszymy o pomocy gospodarczej i pokojowej współpracy, nawet jeśli najszybciej rosną dostawy broni i amunicji, najczęściej finansowane udzielanymi przy okazji kredytami i zadłużaniem się państw odbiorców. Kręcą się interesy militarne i polityczne, ekonomiczne zyski jednych są stratami – absolutnymi bądź względnymi – drugich.

Imperatyw pokojowego rozwoju

Jesteśmy świadkami zaiste zmiany epok. Świadkami i uczestnikami. Niestety, w odniesieniu do zimnowojennej gorączki zbyt biernymi, ale tylko kwestią czasu jest rozlanie się fal masowych antywojennych protestów na podobieństwo tych z lat brudnej wojny wietnamskiej, przegranej przez amerykański imperializm – także wskutek ruchów antywojennych – dwa pokolenia temu. Tym bardziej że trudno wyobrazić sobie, aby bez radykalnego odwrócenia kosztownej spirali zbrojeń udało się w sposób pokojowy i demokratyczny skutecznie zablokować dewastujący gospodarkę i życie miliardów ludzi proces przegrzewania się klimatu. Niewykluczone, że aby tego dokonać, uciekać się będzie do systemów autorytarnych i używania siły.

Tegoroczny budżet wojskowy USA wynosi rekordowe 886 mld dol.

Przyjdzie czas, że ludzie będą demonstrować na wielką skalę przeciw wojnie, która zabija nie tylko ludzi, lecz i szanse na zrównoważony rozwój. Tam, gdzie już jest ona gorąca – zwłaszcza na styku Rosji i Ukrainy oraz Izraela i Palestyny – groźba eskalacji konfliktów jest coraz większa. Po barbarzyńskim ataku bojówkarzy Hamasu na Izrael i ewidentnie nadgorliwej jego reakcji na tę napaść w tę wojnę bezpośrednio angażuje się coraz więcej państw, nie tylko bliskowschodnich, jak Arabia Saudyjska, Irak, Iran, Jemen, Jordania, Liban oraz Syria, lecz też stali członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ – USA i Wielka Brytania. Pośrednio w tych konfliktach uczestniczy ich znacznie więcej, w przypadku wojny na Ukrainie praktycznie całe NATO.

Psychoza zimnowojenna jest celowo podkręcana przez lobby militarno-przemysłowe oraz związane z jego interesami kręgi polityczne i medialne.

Na powierzchni zjawisk słyszymy wciąż a to o obronie przed wrogą agresją, a to o chlubnej walce w imię niepodległości, suwerenności i demokracji, ale przecież te starcia wiążą się z tektonicznymi zmianami geopolitycznymi, które bynajmniej nie wszystkim są na rękę. Rosja wciąż nie potrafi pogodzić się z utratą po rozpadzie Związku Radzieckiego swojej wcześniejszej silnej pozycji. USA nie chcą przyjąć do wiadomości faktu, że ich globalna hegemonia jest passé. Nostalgia za czasami kolonialnej potęgi wciąż kładzie się długim cieniem na Wielkiej Brytanii i Francji. Niektórzy obawiają się, że Chiny od asertywności przejść mogą do zewnętrznej agresywności. Wpływowy brytyjski think tank The Economist Intelligence Unit sugeruje, że „w dłuższej perspektywie coraz wyraźniej kształtował będzie się jeden blok walczący z Zachodem (pod przewodnictwem Chin i Rosji) i jeden blok skłaniający się ku Zachodowi (pod przewodnictwem USA i UE). Bloki te będą cementować się na scenie geopolitycznej i będą sięgać do dźwigni gospodarczych i wojskowych, aby przyciągać kraje, które nie opowiadają się za żadną ze stron. Rywalizacja o wpływy szybko rozszerzy się poza Azję – do Afryki, na Bliski Wschód i do Ameryki Łacińskiej". Niestety, sprawy od jakiegoś czasu biegną w taką właśnie stronę.

Zamiast wrogiej konfrontacji

Zamiast konfrontacji na takiej linii odmienne dwa megaukłady – euroatlantycki i euroazjatycki – mogą ze sobą konkurować pokojowo, bez sięgania do „wojskowych dźwigni". Co więcej, wzmocnienie transnarodowych dźwigni gospodarczych, kulturalnych i dyplomatycznych może sprawić, że te militarne okażą się bezużyteczne. W obu blokach kluczową rolę powinna odegrać Unia Europejska, która, zważywszy na jej położenie, przynależy do każdego z nich i która nie musi stawać po żadnej ze stron w amerykańsko-chińskich sporach. W ramach tejże Unii wkład na miarę swoich możliwości i ambicji wnosić powinna także Polska. Lojalność sojusznicza w ramach NATO bynajmniej nie wymaga bezkrytycznej uległości wobec jego najpotężniejszego członka. Jak słusznie powiada prezydent Francji, Emmanuel Macron, „bycie sojusznikiem nie oznacza bycia wasalem…".

Grzegorz W. Kołodko